

## W S P O M N I E N I A

Wiktora Gawienowskiego z przynależności do harcerstwa zorganizowanym przy Polskim Gimnazjum im. A. Mickiewicza w Kownie, od roku szk. 1934/35

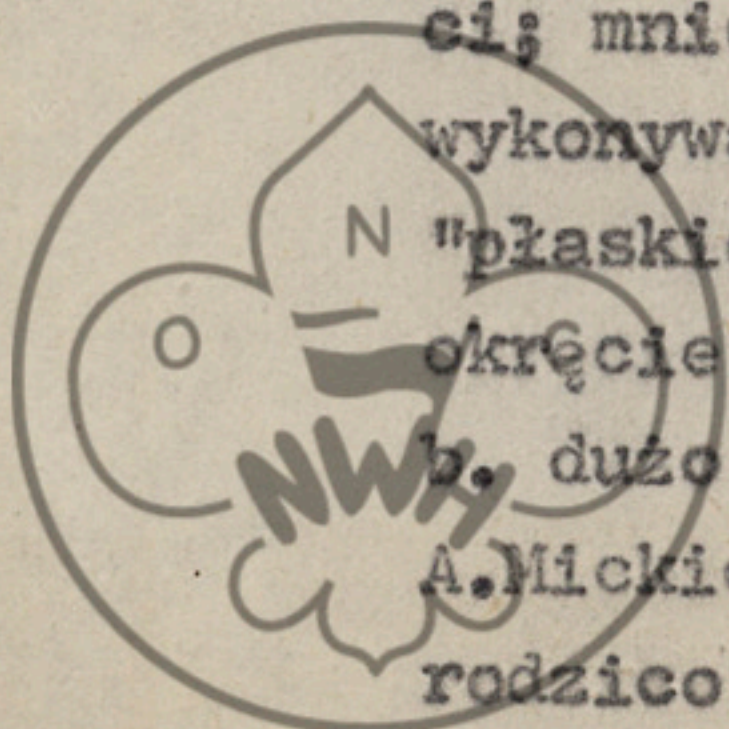
Był rok szk. 1934/35, mój pierwszy rok nauki w Gimnazjum w Kownie - po zdaniu egzaminu do kl. II tegoż gimnazjum w czerwcu 1934. Przewodnicząca pani profesor Krystyna Szukszcianka z tejże kl. II wybrała 4 chłopców (m. inn. i mnie i powiedziała w tajemnicy, żebyśmy dobrali do siebie po trzech zaufanych kolegów. Nie pamiętam ile zgłosiło się tych czwórek) jednemu z kol. rodzice nie pozwolili organizować tej czwórki) prawdopodobnie trzy - wtedy o zmierzchu listopadowym pani Krystyna (gdy przymknę oczy - w pamięci odtwarzam to wydarzenie) zorganizowała nam zbiórkę na gimnazjalnym dziedzińcu za szopą - drewnianą, a granicznym murem i tam oznajmiła w "wielkiej tajemnicy", że będziemy prowadzić "wielką grę", wycieczki, podchody, zdobywanie różnych sprawności i będziemy polskimi zuchami. Gdyby ktoś pytał z osób postronnych do jakiej organizacji należymy, trzeba powiedzieć, że do Koła Czerwonego Krzyża. Z tej racji przeprowadzaliśmy później kwesty na ulicach z puszkami na których były znaczki czerwonego krzyża...).

Za czasów smetonowskiej Litwy, nie było mowy, aby oficjalnie egzystowało polskie harcerstwo. Po jakimś czasie, każda z czwórek obrała sobie godło, jak "Jastrzębie", "Leśne ludki", itp., a cała gromada miała godło "Mieszkańcy Puszczy". Każdy z nas, zuchów, miał swój pseudonim, jak: Lis, Ryś, Miś, Jastrząb, Kruk itp., a mnie podobał się "Gawron" (skojarzenie z moim nazwiskiem Gawien - Gawron, został mi aż do chwili "popieszczenia" mojej głowy i twarzy przez niemieckiego żandarma, kiedy zmieniłem swoje pseudo na "Sęk").

Pierwsze nasze wycieczki, podchody, leśne gry, zawody, odbywały się w Dolinie Mickiewicza, a także nad brzegami Niemna i Wilii. W Dolinie M. niedaleko głazu z literami i datą A.M. 1822, zakopaliśmy "na wieczną rzecz pamiątkę" skład naszej drżyny zuchowej, wiadomo, nie nazwiska, ale pseudonimy. Te wycieczki odbywały się jesienią i wiosną, zimą tylko sporadycznie. Zimą przeważnie Krąg Rady Drużyny zasiadał w sali szkolnej przy imitowanym ognisku. Zdobywaliśmy różne sprawności; mnie utkwiała w pamięci sprawność "Marynarza", kiedy ćwiczyliśmy wykonywanie różnych węzłów i ich rozwiązywanie np. "babskiego" oraz "płaskiego" i piosenka "Wesoła marynarska wiara" i "Kto majtkiem na okręcie służy". Piosenek patriotycznych i zuchowych uczyliśmy się dużo (przydały się do pracy w okresie okupacji), były też do słów A. Mickiewicza, jak: "Hej! użyjmy żywota", "Wilijo nasza, strumieni rodzico" itd.

Wycieczki, zbiórki oprócz p. Szukszcianki, kiedy ona nie miała

ZBIÓRKA  
Otworzyła i Rysowała  
Maekiewiczówna



archiwum

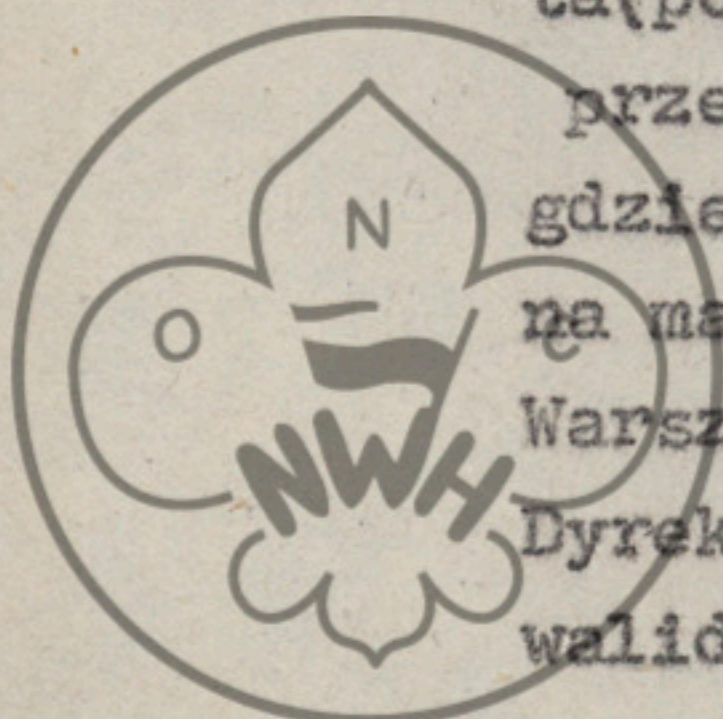


czasu, czy była chora, prowadziła aktywna p. polonistka Marta Burbianka, albo starsi druhowie czy druhny.

Równocześnie, a może jeszcze wcześniej niż nasza drużyna zucho-  
wa, powstały zastępy starsze harcerskie, które prowadził Tadeusz  
Korewa, apo wakacjach 1936 r.,przeszkoleni w Brennej, Tadeusz Kog-  
nowicki i Zbyszek Skłodowski - organizują dwie drużyny harcerskie.  
Skończyły się nasze zabawy zuchove, mieliśmy zaszczyt należeć do  
Drużyny Harcerskiej im. Zawiszy Czarnego. Drugą drużynę prowadził  
druh Zbyszek Skłodowski, od zarania przezywany "Kura" - na pamiąt-  
kę Marii Curie-Skłodowskiej - jego krewnej. Wyprawy do Polski aż  
do nawiązania stosunków dyplomatycznych między Polską a Litwą,usku-  
teczniają druhowie Kognowicki i Skłodowski przez "zieloną granicę",  
nie jadąc przez Łotwę (Rygę),jak to czynili inni.

Podaję skład mojego zastępu "Kozic":

- Zastępowy - Stanisław Rautenstrauch (prawdopodobnie w prostej linii  
od generała Józefa Rautenstraucha, który służył w Armii ks.Józefa  
Poniatowskiego) Nazywaliśmy go Rabinem, albo pieszczotliwie Satalem  
Ugruntował swe zastępostwo po kursie w Brennej w wakacje 1938 roku.  
Matura w 1940/41.W czasie okupacji niem. w AK. Po wojnie ukończył  
chemię we Wrocławiu.(spotkałem na Wystawie Ziem Odzyskanych we Wro-  
cławiu jako kierownika stoiska chemii).Pracował w Min.Chemii w War-  
szawie, później w Zarządzie PGR-ów.
- Henryk Butkiewicz, "Heńka", "Budziuk", łączność z nim się urwała w  
czasie wejścia Armii Czerwonej,- nie wiem co się z nim działo.  
..... Butkiewicz, młodszy brat Henryka,-imienia nie pamiętam,  
"Okularnik". Obaj nie ukończyli gimnazjum.
- Jurek Domejko (krewny Ignacego Domejki) wywieziony z matką i mło-  
dszym bratem na Sybir, wrócił z żoną do Olsztyna. Obecnie z żoną  
i dziećmi w USA. "Domuś" . Gimnazjum nie ukończył- wywózka.
- Wiktor Gawienowski - "Gawron", kronikarz zastępu, wierszokleta.W  
roku 1939 kurs dla instruktorów zuchowych w Brennej k.Skoczowa,  
Powrót na Litwę w końcu sierpnia 1939, drużynowy drużyn zuchowych  
w Wiliampolu ( "Słobodka" - przedmieście Kowna, w Janowie i Bob-  
tach) Te 2 ostatnie w terminie późniejszym przekazane innym dru-  
hom.Tajne nauczanie i pracę konspiracyjną na terenie powiatu Oli-  
ta(południowo wschodnia część powiatu), później AK, po wojnie  
przenosi się wiosną 1946 r. do rodzinnej wsi żony - Niemysków,  
gdzie z żoną zostają nauczycielami w szkole podstawowej, (zaocz-  
na matura pedagogiczna). W latach 60-tych zaoczne studia na Uniw.  
Warszawskim,zakończone dyplomem magistra filologii rosyjskiej.  
Dyrektor szkoły od 1947 r. do 30 kwietnia 1978.Obecnie emeryt,in-  
walida wojenny II grupy.



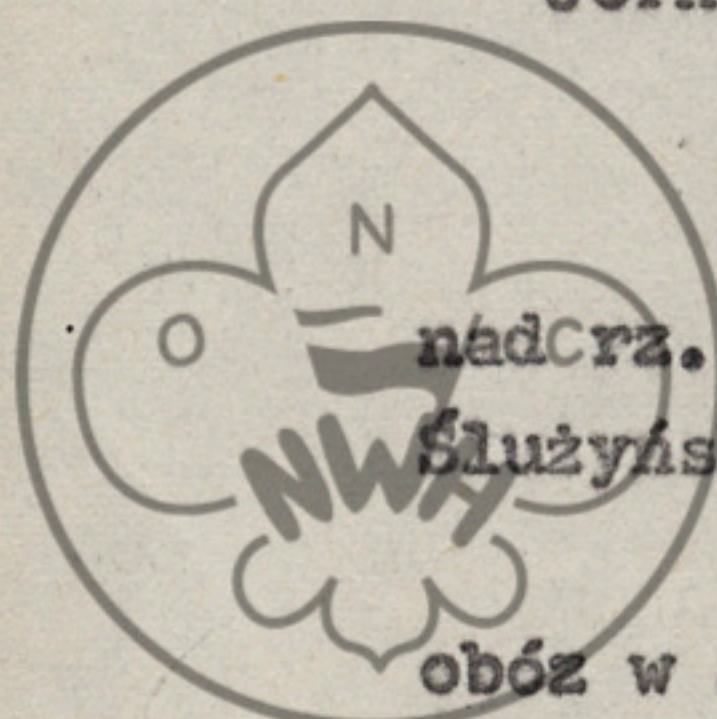


- Józek Górniewicz - był ze mną w 1939 r. na kursie instruktorów zuchowych w Brennej. W czasie okupacji niem. kolaborował z okupantem, rozpoznany i stracony w kilka lat po wojnie.
- Stach Jagiełłowicz, "Igiełka", w owym czasie już nie uczył się w gimnazjum, pracował w jakichś zakładach mechanicznych, skąd "kombinował" dla zastępu potrzebny inwentarz. Nie wiem co się z nim dzieje.
- Tadek Sabutis - "Sondak", zwinny, wysportowany chłopak, dobry kolega. W czasie okupacji korespondowaliśmy ze sobą, nie jest mi znany jego los. Gimnazjum nie ukończył.
- Felek Żubr - "Felek", "Byk" (od Żubra). W czasie r. szk. 1939/40 przy pomocy zawodowych wojskowych z Polski (uchodźcy w naszej harcówce w "Budzie" - (pop. nazwa Pol. Gimn. w Kownie) był prowadzony teoret. kurs tzw. dość szumnie "podchorążówki", nie tylko dla naszego zastępu - z umiejętności obchodzenia się z bronią oraz wypadami w teren na ćwiczenia praktyczne. On mnie przyjmował do AK, odbierał przysięgę oraz wydawał stosowne rozkazy i polecenia. W r. szk. 40/41 uczył się w Wilnie. Ostatni raz odwiedził mnie w r. 1945 w Druskienikach. Wyemigrował z matką i bratem Wacławem do Wenezueli. Z Caracas kilka lat temu miałem od niego list, że się ożenił z Polką, mają syna, którego uczy on historii Polski, tłumacząc mu, że jeszcze Polska będzie aż po Morze Czarne i Kaukaz. Kuzynka Felka mieszkająca w Łodzi, mówiła mi, że coś nie jest zbyt dobrze z Felką psychiką, - miał jakieś bankructwa w kopalni. Szkoda go. To był mój rowy kolega i konspirator.
- Wacek Żubr - "Byk" II - młodszy brat Felka był w naszym zastępie. Po jakimś czasie przestał uczęszczać na zbiórki - jak kot, lubił raczej chodzić własnymi drogami. W Wenezueli, jak pisze w swej książce "Hombre", towarzysza Toniego Halika ( akurat wyleciało mi z pamięci jej nazwisko) - Wacław Żubr w interiorze prostował włosy murzynom, a po skończeniu akademii górniczej, założył fabrykę papierosów światłoczułych i jest potentatem w tej dziedzinie, jako, że w Wenezueli papier światłoczuły idzie jak woda, ze względu na plany różnych inwestycji - nie cytuję tego dosłownie, tylko z pamięci, bo nie mam pod ręką tej książki. Wacek spotyka się w Nowym Jorku z Jurkiem Domejką, rozprawiają o naszych sztubackich latach.

#### Obozy harcerskie

O pierwszym obozie harcerskim w czasie wakacji w roku 1935, nad Crz. Dubissą, prowadzonym przez druha Tad. Korewę i prof. Leona Służyńskiego, wiem tylko z opowiadań starszych kolegów.

W lipcu 1938 r. odbył się, prowadzony przez Tad. Kognowickiego obóz w Skubach, koło dworku rodziny Kognowickich, gdzie nasz zastęp





brał udział prawie w komplecie, tylko bez "Rabina" - który był na kursie w Brennej w Polsce. Obóz rozlokował się w sosnowym lesie, na górze, skąd wypływało źródło, tworzące mały strumyczek. Na tym strumyku, pod kierownictwem prof. Służyńskiego, zbudowaliśmy zapórę, która utworzyła spory stawik, a zgromadzona woda znajdowała ujście w rurze, która była rzucona po stoku góry i wypływająca pod ciśnieniem woda w końcu rury, obracała małą turbinkę połączoną z prądnicą (jak wtedy nazywano - z dynamem). Obóz był zelektryfikowany, co wprowadzało nas wszystkich w zachwyt, a jeszcze więcej, zwiedzających nasz obóz harcerski. Na tym obozie zdobywaliśmy różne harcerskie sprawności i stopnie. Nie zapomnę zdobywania przeze mnie sprawności "Trzy pióra". Miałem być niewidoczny przez całą dobę i tylko 1 raz w tym czasie nakarmiony. Oprócz obiadu druh Tadeusz Kognowicki przyniósł mi kubek miodu z rodzinnej pasieki i dodatkowy koc, abym mógł osłodzić i ocieplić moją samotność w sosnowym borze...

W Skubach, po naszym obozie był w tych samych namiotach obóz harcererek. Obóz (kurs dla drużynowych) w ferie wielkanocne r. 1939 dla harcerzy z Kowna ( a chyba z Wiłkomierza i Poniewieża) odbył się w Beczkanach, majątku pp. Butlerów, nie w namiotach, ale w tak zwanym Młynku, gdzie również brałem udział, w pożyczonych saperkach od druha T. Kognowickiego. Znał on b. dobrze moje mizerne warunki materialne. Nadmieniam, że istniały w Kownie 2 drużyny harcerskie dziewcząt. Jedna miała za patronkę Emilię Plater, a drugiej drużyny patronki nie pamiętam.

Ostatnim obozem dla drużynowych, którego komendantką była pani Marta Burbianka, a przyboczną p. K. Szukszcianka, był obóz dla dziewcząt w namiotach od 21.VI do 15.VII, również w Beczkanach. Z ustnej relacji koleżanki z gimnazjum Reginy Mądrzejewskiej-Jatowtowej (mieszkającej nadał w Kownie) było 25 dziewcząt z Kowna, Poniewieża i Wiłkomierza, które same gotowały i zdobywały produkty żywnościowe, a obóz swój nazwały "Mrowisko pod dębami".

#### Dalsze wycieczki naszego zastępu "Kozic"

Pieszę - kilkakrotnie do Jodańc, do majątku p. Reginy Wańkowi-  
czówny, gdzie byliśmy zawsze mile przyjmowani i gdzie poznaliśmy  
córkę Melchiora Wańkowicza.

- Nad rzekę Jessę, dopływ Niemna.

- Do pp. Galińskich, 20 km od Kowna, dwudniowa, noc w na-

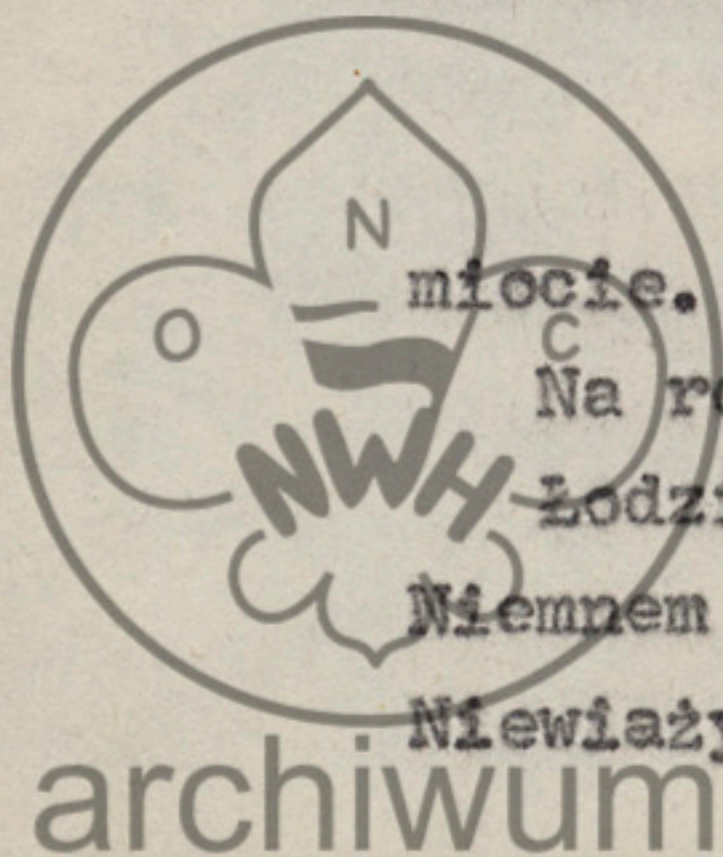
miocie.

Na rowerach - do Bobt.

Łodzią motorową, wypożyczoną z Polskiego Poselstwa w Kownie.

Niemnem i Niewiażą do Jodańc, dwudniowa z nocowaniem nad brzegiem

Niewiaży w namiocie - zakończona niezbyt pomyslnie, bo w drodze





powrotnej zgubiliśmy, tuż przed przystanią "Sparty" na Niemie, śrubę napędową od silnika. Łódź doholowaliśmy do przystani, ale trzeba było kombinować, aby ktoś dorobił taką śrubę - pomógł nam "Igiełka".

1 września 1939 roku

Największe natężenie prac tak harcerek, jak i harcerzy oraz całej Polonii litewskiej, nastąpiło po napaści Niemiec na Polskę. Fala uchodźców gromadziła się w Kownie, trzeba było ich rozlokować, zaopatrzyć w cywilne ubranie, nakarmić, pomóc tym, którzy chcieli przez Łotwę, Estonię, Szwecję, udawać się na Zachód, aby dalej walczyć o sprawę Polski.

Rok szk. 1939/40 był b. ciężki dla Polskiego Gimnazjum w Kownie (również w Poniewieżu i Wilkomierzu). Ustała pomoc finansowa z Polski, trzeba było liczyć na własne siły. Nasz zastęp "Kozic" brał we wszystkich tych pracach udział, chociaż odbijało się to na wynikach w nauce, jednak sądziliśmy, że zdołamy urządzić pływający obóz po Niemnie dla naszego zastępu. Za zdobyte pieniądze (sprzedaż odlewanych przez nas ołowianych żołnierzyków, fantowe loterie, zysk z gazetki "Wzwyż", nasze składki...) kupiliśmy zdezolowaną kędź, coś w rodzaju krypy, która po remoncie, wykonanym przez nas, nadawała się do żeglugi, gromadziliśmy żywność i sprzęt obozowy z garnkami i patelniami włącznie, ale wszystko wzięło w łeb po zajęciu przez Armię Cz. Litwy. Kilkoro z nas stało wśród tłumu na schodach Soboru na Laisvės Aleji i widzieliśmy jak kobiety, patrząc na wkraczające wojsko sow. płakały mówiąc: "Jau nėra musų Lietuvos". Nazajutrz w miejscowej prasie ukazały się artykuły, że z radości na widok wojska sow. ludzie płakali...

Wkrótce zabrano nam gmach gimnazjum wraz z całym wyposażeniem, jak również materialne dobra organizacji polskich wraz z naszą "krypą".

Pisemka wydawane przez harcerzy w roku szk. 1939/40

W naszym gimnazjum wydawano 2 pisemka: "Zarzewie" i "Wzwyż". Wydawano je z inicjatywy Komendy ZHP - "Zarzewie"-Zbyszka Skłodowskiego, "Wzwyż" - Tadeusza Kognowickiego. Redagowano je zespołowo. Do redakcji "Zarzewia" należeli: Zb. Skłodowski, Witold Czzrek (redaktor) Wiktor Gawienowski (sekretarz), Zygmunt Marcinkiewicz (red. techniczny). Do redakcji "Wzwyż": T. Kognowicki (redaktor), Stan. Rautenstrauch (sekretarz), Jerzy Domejko (red. techn.) Do tych zespołów redakcyjnych należeli inni druhowie i druhnny, ale trudno mi jest obecnie uzmysłowić dokładnie.

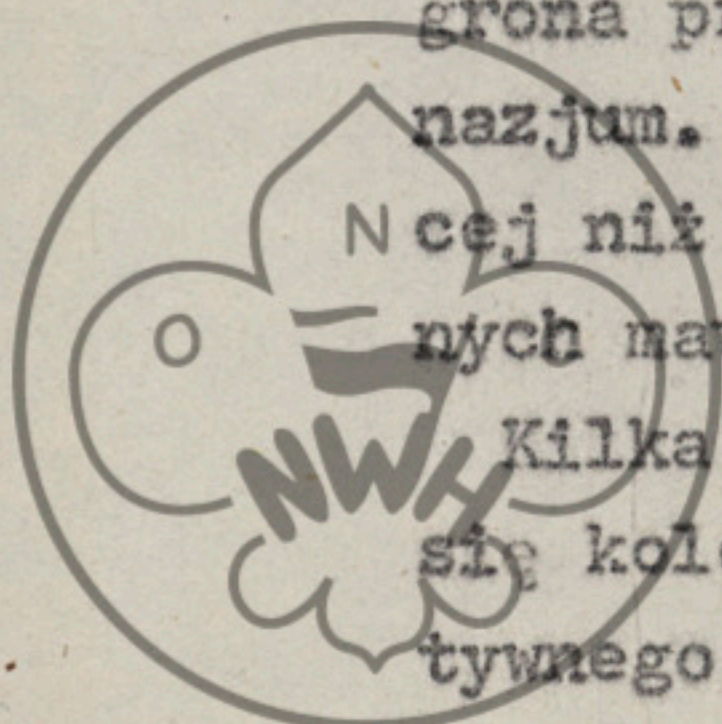
"Zarzewie", po zaakceptowaniu artykułów do danego numeru, było przepisywane na maszynie do pisania, mieszczącej się w kancelarii gimnazjum, ku przyzwalejącej aprobacie ówczesnego dyrektora p. Franciszka



Dąbrowskiego. Przedruku dokonywałem ja na matryce powielaczowe, zaś powielanie odbywało się na powielaczu bębnowym, smarowanym farbą drukarską. "Zarzewie" istotnie wyglądało szaro, tak jak popiół, w którym tła się iskierki naszego życia, które z czasem przemieniają się w płomień. Właśnie celem "Zarzewia" było podtrzymywanie ducha polskości podczas tych ciężkich czasów - Polska pod okupacją, brak funduszy na utrzymanie i egzystencję gimnazjum - brak opału w kotłowni gimnazjalnej, popękane od mrozu kaloryfery, a mimo tych trudności i szykan ze strony szaulisowskiego rządu, przed jego niechybnym końcem, życie gimnazjum trwało nadal i tętniło pracą społeczno-kulturalną (choćby uczniowska orkiestra dęta, "Zemsta" wystawiona przez kl. VII - reżyserowana przez polonistkę p. Szwejkowską, gdzie grałem rolę Cześnika oraz operetka wystawiona przez nauczyciela śpiewu).

Wszystko to znajdowało odbicie w naszym "Zarzewiu", jak różne informacje z życia szkolnego.

"Wzwyż" było wydawane w mieszkaniu St. Rautenstraucha, przepisywane ręcznie przez niego na kalkę hektografowaną, ilustrowane grafiką, później kalkę umieszczano się na płytce z masy hektograficznej i ręcznie przy pomocy wałka, odbijało się tekst na papierze. Najczęściej te sprawy techniczne wykonywał Jurek Domejko. Teksty pismka "Wzwyż" tak pod względem estetycznym jak i treściowym przedstawiały się lepiej niż "Zarzewia". Treść nie miała "cenzury" naszych profesorów, a szczególnie dyrektora, który nas upominał żeby nie drażnić szowinizmu litewskiego. Jak sama nazwa pismka "Wzwyż", już w swej nazwie, miała program oddziaływania na naszą młodzież i w tym duchu utrzymane były artykuły Tadzia Kognowickiego i innych piszących do tego pismka. Teraz nazwalibyśmy to treścią ideologiczną, a wtedy było to mocniejsze zabarwienie patriotyczne, niesienie ofiary chociażby ze swego życia Polsce - wymarzonej przez nas w Polskim Gimnazjum. Często nie zorientowani sądzili, że Zb. Skłodowski poróżnił się z T. Kognowickim i starają się w swych pismkach udowadniać swoje racje. Sympatyzujący z jednym czy drugim przyznawali lepszy poziom "Zarzewia" albo "Wzwyż". A naszym harcmistrzom chodziło o to, aby ich koledzy wiedzieli jasno, co trzeba sądzić o bieżących wydarzeniach z polityki, z życia codziennego. Pismka były rozprowadzane wśród młodzieży gimnazjalnej, wśród grona profesorskiego, a także częściowo wśród sympatyków naszego Gimnazjum. Cena pismka wynosiła 20 centów za numer. Chętnych było więcej niż numerów, często słyszałem jak koledzy obu zespołów redakcyjnych mawiali: "Nawet nam redaktorom nie został ani jeden numer..." Kilka numerów obu pismek zaginęło mi w czasie wojny, a dopytywałem się kolegów, czy kto przechował te pismka, niestety, nie dało pozytywnego rezultatu.



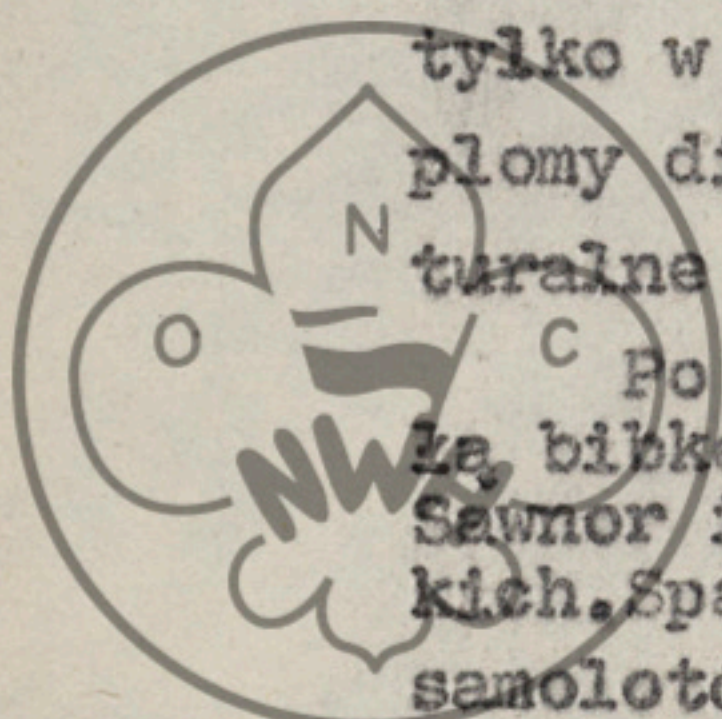


W kowieńskim Dziesiątym Gimnazjum  
z wykładowym językiem polskim

Rok szkolny 1940/41 zaczynał się dla nas niepomyślnie, smutne mieliśmy miny, szczególnie nasza klasa, promowana do klasy ósmej. Nasze Gimnazjum na ul. Miśkę nie istniało. Rok szkolny już się rozpoczął, a my chodziliśmy jak błędni. Poszliśmy z delegacją do ministra (czy komisarza?) oświaty LTSR, urzędującego w Kownie, drauga Żiugłgždy ( swego czasu wykładowcy j. lit. w naszym gimn.) Poszliśmy biedniacy: W Czerek, Z. Marcinkiewicz, W. Ubogorski - już samo nazwisko mówiło - ubagas - W. Gawienowski - też od "gawienia"-post- , i dwie koleżanki: R. Mądrzejewska i L. Łapińska. Poszliśmy prosić, aby nam dane możliwość ukończenia gimnazjum w j. polskim. Draugas ministeris odpowiedział: - Vaikeliai, aś jums nieko neprižadū, stokite i lietuviškas mokyklas - koniec kropka. Robiono też starania i z innej strony, przeważnie robił to p. Ludwik Vialbutt, nasz vice-dyrektor. A czas upływał. Poradzono nam, żeby się zapisać do komsomołu, bo komjaunimas ma wiele możliwości. Utworzyliśmy, za porozumieniem się z naszymi władzami harcerskimi, koło komsomołców: Rautenstrauch, Domejko - jako komsomolca" wywieziono go przed samą maturą w Sybir, Marcinkiewicz, A. Giżyński - później więzień w Dachau, ksiądz w Paryżu, Szczynie i castelnaudary, W. Gawienowski i jeszcze kilku innych kolegów i koleżanek, ale dokładnie nie pamiętam, a mógłbym się pomylić i wyrzucić "krzywdę". Gdzieś około połowy września 1940 roku w czasopiśmie "Komjaunimo Tiesa" ukazał się artykuł uogólniający, że trzeba dać szansę zdobycia matury i innym młodym ludziom różnej narodowości, zamieszkującym Tarybą Lietuvoje. Do dziś dnia niektórzy z Polonii kowieńskiej krzywią się na nasz postępek, czy występki z tym komjaunimem. A pani Szukszcianka wiele łez wylała na moją głowę: - Ty, Witku, taki dobry harcerz, ostatni chorąży w Naszym Gimnazjum i tak postąpiłeś? Cóż miałem powiedzieć, dopiero kilka lat temu w Pile, gdzie była polonistką, odwiedziłem ją i mogłem wyjaśnić jak to naprawdę było.

Dopiero dn. 27.09.1940 r. w poklasztornych murach na Starym Mieście otwarto X-te Kowieńskie Gimnazjum z polskim j. wykł. dla klasy VIII i klasy VII, która miała w ciągu roku szkolnego przerobić 2 klasy VII-ą i VIII-ą. A "komsomol<sup>cy</sup>" nadal prowadzili swe harcerskie prace, tylko w większej konspiracji. W końcu roku szk. 40/41 otrzymaliśmy dyplomy dziesięcioletki, które po przyjeździe Niemców wymieniono nam na maturalne 8-klasowego gimnazjum.

Po ostatnim egzaminie, w sobotę 21.06.41 urządziliśmy sobie małą bibkę w restauracji w Alei Stalina. Rautenstrauch, Szumkowski, Sawnor i ja. Dziwiła nas tak wielka ilość pijanych lotników sowieckich. Spaliśmy u Rabina przy Soborze. Rano zbudziły nas wystrzały i huk samolotów nad dachami Kowna z czarnymi krzyżami. Wojna Niemiec z





## W szeregach Armii Krajowej - Obwód Olita

Przynależność do AK, po zaprzysiężeniu mnie przez Komendanta Obwodu Feliksa Żubra ps. "Madaż", traktowałem jako kontynuację mojej pracy harcerskiej, ukierunkowanej już od zucha do pracy konspiracyjnej przez p.K. Szukszciankę i kształtowaną przez druhów T. Kognowickiego i Z. Skłodowskiego. Po utracie druha Kognowickiego, druh Skłodowski polecił mi prowadzić działalność oświatowo-patriotyczną na terenie Olita-Oława-Daugi-Kolonia Giełuk, miejsce zamieszkania mojej rodziny, gdzie byłem zameldowany u ojca jako kowal - Żelniewicze-Bieniuny-Talkuny-Niedzingi-Merecz-Olita.

### I tak:

OLITA - Zuzanna Pawłowicz - maturzystka Gimn. w Wilnie, Feliks Pawłowicz - polska szkoła podstawowa.

Oława - majątek żony p. Zygmunta Żylińskiego ("Muś"). Właścicielka z córką Haliną deportowana w czerwcu 41 do Kazachstanu. Po przebytej gehennie wróciły - mieszkają w Łodzi. Majątkiem opiekował się w czasie okup. niem. p. Hoppen-wujek F. Żubra. Wieś Oława - liczna rodzina Kochańskich - moi kuzyni.

Radziejowszczyzna k. Daug - majątek p. Henryka Wasilewskiego. Jego syn Mieczysław i córka Wanda, maturzyści Pol. Gimn. w Kownie, w roku szkolnym 1938/39.

Kolonia Giełuk - 5 km od Daug na południe. Moi młodszy bracia i siostra.

Żelniewicze - od Giełuka 3 km. Sonia Hancewicz - koleżanka ze szkoły podstawowej.

Bieniuny - 3 km od Żelniewicz. Moja rodzinna wieś. Przed wojną nie było w niej ani jednej rodziny litewskiej. Polska szkoła powszechna - kol. szkolna Zosia Grażewicz. Rodzina Szadziwiczów.

Talkuny - 2 km od Bieniun. Wieś w większości polska. Józef Naniewicz, mój brat cioteczny i Aleksander Szadziwicz.

Niedzingi - 3 km od Talkun. Majątek pp. Jana i Wandy Żylińskich. Wywieziono ich w pocz. czerwca 1941 razem z synem Jerzym. Pana Jana odłączono od rodziny - zamarzył w Archangielsku. Został w/wym. "Muś", o którym wspomina w swej książce Ludwik Sempoliński, jako administrator majątku na Wileńszczyźnie. Muś - p. Zygmunt Żyliński ps. "Szczepan" przyjeżdżał nieraz do Niedzing. Byłem jego pupilem, - pomógł mi dostać się i utrzymać w gimnazjum ze względów materialnych. Od szczeniących lat bywałem mile widziany u pp. Żylińskich, gdzie zaspakajałem w ich bibliotece zachłanny głód polskiej książki. Pan Zygmunt kontaktował się z rodziną pp. Komarów, a po śmierci p. Komara zaopiekował się p. Komarową i jej dziećmi. Uwierzył, że "Propok", młody chłopak w transie sennym odpowiadał na pytania o losach ludzi deportowanych na Sybir, że jego pierwsza żona nie żyje i ożenił się z p. Komarową. Dlaczego tak szczegółowo o tym piszę? bo z przyzwolenia p. Zygmunta korzystałem w swej pracy nadal z ich biblioteki. Książki mnie wypożyczała ich stara guwernantka pani Józefa Łappo. Pani Wanda Żylińska z Jurkiem wrócili do Łodzi wraz z pierwszą żoną p. Zygmunta i jej córką Haliną - tak wojna pokracznie załatwiła losy ludzkie...

Gawieniany-wieś nieduża, 1 km przed Niedzingami, to wieś moich przodków, z których dwóch brało udział w powstaniu 1863 r. Jeden, ojciec trzech małoletnich synów, zginął w powstaniu, a drugiego wywieziono na zawsze na Sybir. Wioskę przekazano rosyjskiemu majorowi, a wdowa, moja prababka przeniosła się do Bie-





niem. Major narobił długów i wieś sprzedał. Między innymi mieszkał tam Wacław Grażewicz, szczerzy Polak, z którym kontaktowałem się w mej pracy. Teraz został tam tylko cmentarzyk - jedna chałupka i góra Berkikolka, na której kiedyś karczmarzył Żyd Berka.

MERECZ - około 15 km od Niedzing. Tam miałem, na kolonii mereckiej, swego wuja (mojej mamy brat) Bolesława Żukowskiego. U niego działał nasłuch radiowy z bateryjnego lampowego odbiornika "Philips" przemyślnie umieszczonego w ulu w pasiece liczącej ponad 50 uli - w nich też wujaszek Bolesław przechowywał broń pistolety, amunicję, granaty. Należał do AK, tak jak kilkoro jego kolegów, mieszczan z Merecza. Został zastrzelony w swym mieszkaniu wieczorem 1 stycznia 1948 roku przez Litwinów, którzy zemścili się za to, że Bolesław w roku 1938 przesłał do Poselstwa Polskiego w Kownie, zbeszczeszczony w jego mieszkaniu portret Marszałka J. Piłsudskiego - przez szaulisów, co wywołało dochodzenie i pewne sankcje przeciwko tautininkom. Po śmierci też nie dali mu spokoju, wydłubali zdjęcie i zniszczyli napis na śp. Bolesława pomniku na cmentarzu Mereckim.

W tym samym roku 1948 w lutym, nowy cios spadł na moją rodzinę. Na koloniach mereckich, może 2 km od wujka Bolesława, mieszkała ze swą rodziną siostra mojej mamy - Stefania Łukowska. Jej mąż, Jan Łukowski też należał do AK. W końcu lutego 48, było w ich mieszkaniu wesele ich syna Wacława. Niedaleko ich domu była wieża radiostacyjna, na której pracowali krasnoarmiejcy. W nocy przyszli "na swad'bu", już pijani, jeszcze popili i zaczęli dobierać się do płci żeńskiej. Mama zaczęła ich uspokajać. Wtedy jeden z nich, całkowicie pijany, pociągnął serię z pepeszy. Moja mama otrzymała w pierś kilka kul, drużbantowi rozłupało czaszkę, swat też poniósł śmierć, było kilkunastu rannych. Sołdaci wyszli i z radiostacji nadali do Merecza, że do nich streliali. Przyjechały dwie ciężarówki z wojskiem NKWD, zabrali z wesela wszystkich mężczyzn, razem z moim bratem Marianem. Badania nie obeszły się bez bicia. Brat otrzymał kilka ciosów kolbą karabinu w lewą stronę szyi. Długo chorował - był operowany, nastąpiło rozcięcie naczyń krwionośnych na szyi. W 1976 roku przyjechał do mnie do Polski w odwiedziny. Po 2 tygodniach dn. 13.9.76 nastąpiło pęknięcie rozęcia, - zmarł na moich rękach. Pochowany na cm. w Niemyszkowie.

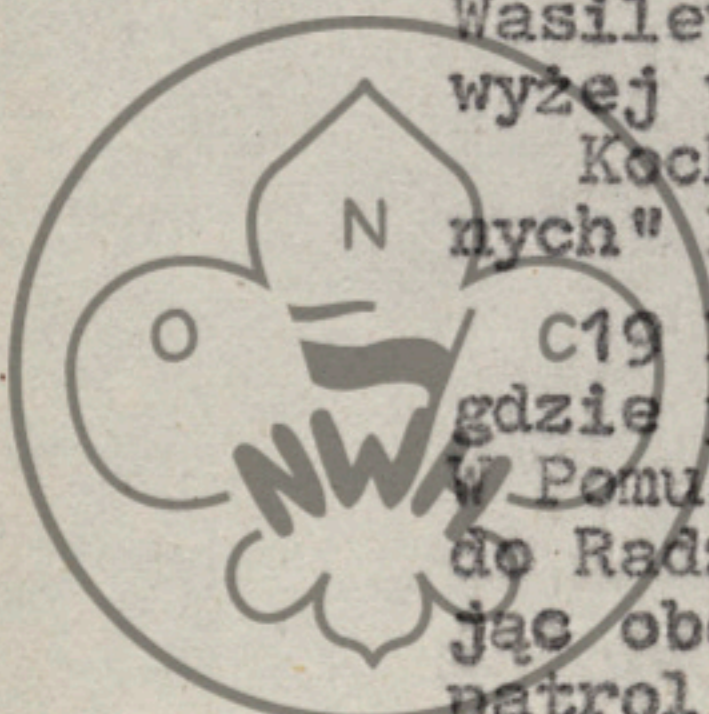
Ale wracając do spraw ruchu oporu. Podałem wyżej nazwiska i miejscowości gdzie pracowałem, tak jak żartobliwie stwierdził F. Żuk niweczając propagandę Goebbelsa. Ci w/w mieli, nieprzymierzając jak w gromadzie zuchowej, po trzech, czterech swoich zaufanych. Został w Kownie po deportacji J. Domejki, rower, który po nim dostałem w "spadku". Poruszanie się w przydzielonym mi terenie wiosną, latem i jesienią nie stanowiło dla mnie problemu. Zimą korzystałem z sanek zaprzężonych w Siwka. Po moim przyjeździe na dany punkt, następowało coś w rodzaju kominka harcerskiego, śpiewanie polskich piosenek, gawęda, wymiana książek polskich z biblioteki pp. Żylińskich, aktualności z frontu wschodniego i zachodniego, czytanie prasy podziemnej.

W Bieniunach i Żelniewiczach istniały drużyny zuchowe prowadzone przez Z. Grażewiczównę i S. Hancewiczównę, z naciskiem na nauczanie maluchów czytania i pisania po polsku.

Gromadzenie broni w późniejszym okresie okupacji było u Mieczysława Wasilewskiego w Radziejowszczyźnie, u Kochańskich w Oławie i jak wyżej wspominałem u Bolesława Żukowskiego k. Merecza.

Kochańscy zostali (8 osób) wymordowani w 1946 roku przez "leśnych" Litwinów.

C19 lutego 1944 r. szedłem pieszo z Pomusia - maj. pp. Kumpisów, gdzie przebywała p. Józefa Łappo, jako nauczycielka dzieci Kumpisów. W Pomusiu otrzymałem plik prasy podziemnej, a że najbliższej miałem do Radziejowszczyzny do Wasilewskich, postanowiłem tam zajść, skręcając obok Daug na prawo. Niestety, na szosie obok Daug zagarnął mnie patrol niemiecki, a kiedy wydało się przy rewizji, że mam prasę AKowską, zaprowadzono mnie na komendę żandarmerii. Wycierając nos,





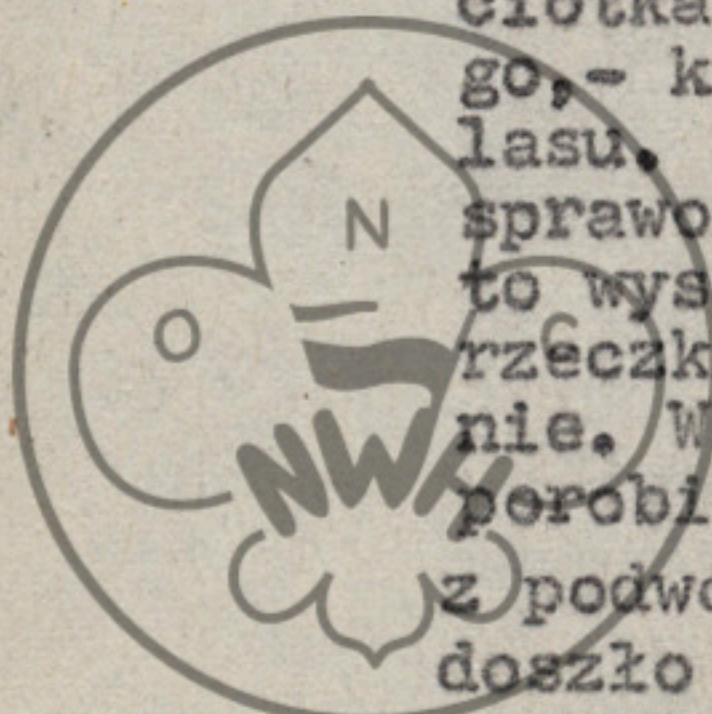
zdażyłem pożknąć meldunek na bibułce pisany, przeznaczony dla F. Żubra. Komendant pijany, koniecznie chciał się dowiedzieć od kogo mam prasę AKowską "tę kandycką prasę".

Moje tłumaczenie, że znalazłem ją w rowie przy drodze nie przekonano go. Chwycił pistolet parabellum rękojeścią do góry i chciał mnie lufą uderzyć w nos, ale trafił obok nosa w lewy policzek. Poczujęm jak krew płynie do warg, a że dalej nie chciałem mówić, chwycił pistolet za lufę i kolbą pałnął mnie po głowie. Obudziłem się mokry na podłodze, kopany w tyłek przez strażników. Ponieważ nadal nie chciałem mówić, żandarm kazał wrzucić mnie do piwnicy. Mój znajomy Litwin, Jozas Trunce, będący kuczerem u komendanta, dał znać mojemu ojcu i poradził, aby ojciec przywiózł na rano dla komendanta jak najwięcej samogonu i jakąś złotą rzecz, to kom. żandarmerii na pewno mnie wypuści i nie przekaże do Olity. Tak się stało. Ojciec napożycał u sąsiadów samogonu, przywiózł kanę od mleka 20-litrową, mama dała złoty krzyżyk i złoty pierścionek. Komendant żandarmerii skacowany przeklinał, ale "podarunki" przyjął i grożąc mi, że na drugi raz mnie powiesi lub zastrzeli, wypuścił.

Po opatunku mojej twarzy i głowy w domu, ojciec natychmiast odwiózł mnie do wujaszka Bolesia k. Merecza. Tam sprowadzono z Merecza felczera, który fachowo opatrzył moją głowę. Dostałem gorączki, uciekałem z łóżka, ale leki dane przez felczera trochę to usmierzają. Przebyłem u wuja do połowy kwietnia, a że zaczęło się robić u niego "gorąco", Felek kazał mnie przyjechać do Metel, gdzie leczył mnie lekarz z Wojska Polskiego z r. 1939, przebywający w Simnie, czy Krośnie. Od 16 maja 44 r. Wacek Żubr, który był kierownikiem młyna w Metelach, zaangażował mnie jako księgowego we młynie. Tam też Felek zmienił mi ps. na "Sęk", byłem rzeczywiście sękaty na twarzy. W Metelach przebywałem do 1 lipca 44. Trzeba przyznać, że Wacek i Felek opiekowali się mną bardzo dobrze, tylko ich brat przyrodni, z pierwszego małżeństwa p. Żubrowej - Mojgis, ożeniony z Niemką z Berlina i paradujący w mundurze z trupią czaszką i naganem uwieszonym pod pepkiem, jednego wieczoru wyrzucał matce dość głośno, że mogłem słyszeć w sąsiednim pokoju, po co trzymamy tutaj tego zafajdanego akowca, musicie go stąd spławić. Od matki dowiedział się o tym Felek i Wacek, była wielka scysja między braćmi, ja zostałem nadal w Metelach.

O organizacji AK wokół Simna wiem mało, przecież obowiązywała konspiracja. Dowiedziałem się tylko, że była jakaś bitwa niedaleko Simna, między policją litewską a członkami AK. W czasie mojej bytności w Metelach parę razy Wacek urządzał wycieczki na jeziora, nie pamiętam które, bo obok siebie są trzy, gdzie na wyspie przeprowadzaliśmy ćwiczenia w strzelaniu z pistoletu, z pepeszy i szmajsera.

Wobec tego, że zdrowie moje poprawiło się znacznie, Felek polecił abym spenetrował jaki jest stan dróg w stronę Puszczy Rudziskiej. Było to w pocz. czerwca 1944. Do Daug odwiózł mnie kolega Mojgisa, jakiś ober, wojskowym samochodem, który z Daug udawał się w stronę Bytrymańc. Z Daug pieszo udałem się do domu, gdzie ucieszyli się na mój widok. Rano rowerem przez Bobryszki dojechałem do Olkienik, gdzie na plebani oddałem meldunek, przewożony w ramie roweru. Przejazd przez kolej przeszedł gładko, wymeldowano mnie, ale miałem papiery nie wzbudzające podejrzeń. Dojeżdżając do Pirczupia, zatrzymałem się, aby pogawędzić ze staruszką, który wraz z małym wnukiem okopywali ziemniaki. Na moje zapytanie czy mieszka w Pirczupiu moja ciotka ta i ta, staruszek odrzekł: - Synku! w Pirczupiu nie ma nikogo, - kto nie został spalony lub zabity dwa dni temu, to uciekł do lasu. Szczęśliwie wróciłem do domu i później do Metel, gdzie zdałem sprawozdanie Felkowi, że wszystkie mosty jak nie spalone (drewniane), to wysadzone (betonowe), porobione są obok mostów na strumykach i rzeczkach, z narzucanych kłoców sosnowych objazdy, wyglądające marnie. W kilku miejscowościach obok szosy (nie pamiętam teraz jakich) porobione były wokół budynków, gdzie przebywali Niemcy, umocnienia z podwójnych ścian z bali w środku wypełnione ziemią. Nie wiem czy doszło do planowanego wyjazdu AKowców, przebranych w mundury niemieckie i w niemieckich ciężarówkach z Olity do Puszczy Rudziskiej.





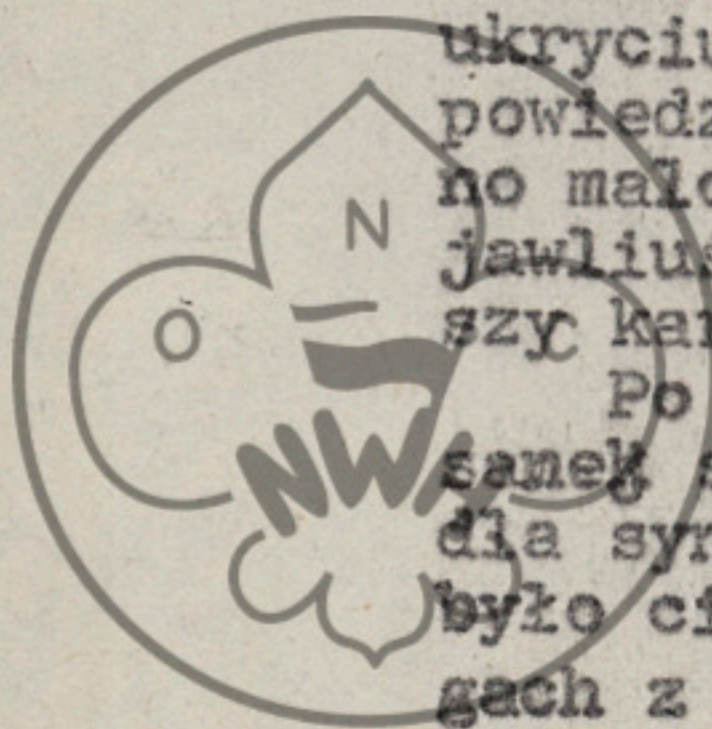
Wobec zbliżającego się frontu opóściłem Metele na początku lipca i wróciłem do Gieluka, do domu, z woreczkiem mąki przennej. W Olicie było pełno wojska niemieckiego, robiono umocnienia przy moście i manewrowo małymi tankietkami zdalnie sterowanymi - chyba "goliaty"-zapomniałem ich nazwy.

Po wkroczeniu wojsk sowieckich na teren powiatu olickiego, pewnego dnia zjawił się na rowerze Felek w moim domu w Gieluku, radząc aby przycichnąć w swej pracy, nie zgłaszać się do armii sow. Znowu kilkakrotnie spotkaliśmy się w Olicie, we fryzjerni przy aptece, a ostatni raz było to w grudniu, Felek dał mi znowu biulet.inform. AK o tym co się działo w Wilnie przed wkroczeniem i po wkroczeniu wojska radzieckiego.

Wracałem w sobotę okazyjnie sankami do domu (dokł. daty nie pamiętam) z Olity w stronę domu. Jechaliśmy na skróty, nie przez Daugi, ale przez Oławę. W Oławie, litewscy "strebuki" zatrzymali przed domem gminy i kazali mi iść do apilinki, gdzie sprawdzono moje dokumenty, a przy tym znaleziono kartkę pisaną po żydowsku, przez Żyda z Polski, w czasie kiedy ich pędzono do getta w Wiliampolu. Zaczekawilo ich to, a także dlaczego nie zjawiłem się dotąd w wojenkomacie. Zamknięto mnie w piwnicy, gdzie w tym dniu z niej wywieziono sporo Litwinów nie zgłaszających się do wojska. Było już ciemno, nurtowała mnie myśl jak pozbyć się prasy Akowskiej, którą miałem owiniętą na nogach pod kalesonami. Zacząłem walić w drzwi, usłyszałem - pałauk. Po paru minutach znowu waliłem w drzwi wołając: - ar aś cia turiu sykt! Otwierają się drzwi i "strebuk" z "widelcem" na karabinie wyprowadził mnie na podwórko za dom, do "szafy", gdzie głośno stękając, chociaż z bólem serca, podarłem pisemka i wrzuciłem do dołu kloaczego. Zaprowadzono mnie znowu do mojego więzienia. Po jakichś 10 minutach otwierają się drzwi i każą mi wychodzić. Na korytarzu, przy stole, na którym pali się lampka naftowa i siedzi jakiś jegomość, który do "strebuka" mówi: ejk sargybon. Po jego wyjściu facet siedzący przy stole przygląda się mi i mówi: Dobry wieczór, panie Gawienowski, a ja pana znam. Odparłem: Dobry wieczór, ale nie miałem okazji pana poznać. A on: A pamięta pan jak robiliście zbiórki w Żelniewiczach u Soni Hancewicz, czytaliście polską prasę podziemną, śpiewaliście polskie żołnierskie piosenki... Mnie zatkało, a on widząc moje przerażenie, powiedział: Niech pan się nie boi, ja w czasie wojny ukrywałem się u Hancewiczów, jestem komunistą pochodzącym z polskiej rodziny i jestem pirmininkasem oławskiej apilinki. Pojechali po Żyda do Lejpun, a ja zawiadomiłem ojca, żeby rano przyjechał do pana. Wziąłbym pana do siebie, ale pan wie, lepiej, żeby nie znano co pan robił w czasie wojny. Zawołał strażnika, który zamknął mnie w piwnicy. gdzie wszy, wierne towarzyszeki więźniów, unilały mi całą noc moje młode życie.

O świcie zbudził mnie warkot ciężarówki i po chwili wprowadzono mnie z paki do pokoju, gdzie siedział uśmiechający się Izraelita, dwóch w mundurach sow. - jeden wojskowy, drugi NKWDzista. Na moje łaba diena, Żyd odpowiedział - dzień dobry - i zaczął wypytywać skąd mam tę kartkę. Odpowiedziałem, że u mojego wuja Mackiewicza w Kownie mieszkała w roku 40/41 na kwaterze rodzina żydowska z Polski - Potokskich i kiedy ich po przyjsciu hitlerowców pędzono jesienią 41 do getta w Wiliampolu, to stary Potokski dał mi tę kartkę, prosząc, że może będę kiedyś w Płońsku i odnajdę jego żonę, która została w ukryciu w polskiej rodzinie. "wszystko się zgadza i dziękuję panu" powiedział Izraelita. Ale tu się włączył NKWDzista: wsio eto choroszo no malczyk, ty dożen jawitsia czerez try dnia w wojenkomat. Odparłem: jawliuś, towariszcz major. Na tym się skończyło. Oni odjechali zabrawszy kartkę.

Po chwili przyjechał ojciec. Kiedy wszedł do gminy po mnie, to z ręką skradziono długi burnus samodziałowy, który ojciec przywiózł dla syna "marnotrawnego", aby nie zmarzył w drodze do domu, ale mi było ciepło z radości, że mi się upiekło i nie było tak jak w Dawgach z hitlerowcami.





Po powrocie do domu rozebrałem się w stajni, mama zabrała moje szatki do pieca chlebowego do odwszenia, a ja do palonej wieczorem łaźni. Na moim ciele nie było miejsca, gdzieby nie było śladów odżywania się wszy.

Nie czekając na trzy dni, w poniedziałek zawiózł mnie ojciec do Olity, gdzie w sali kina był płacz matek i ojców synów zabieranych do wojska. Dano nam ankiety, w których trzeba było szczegółowo opisać swoje dotychczasowe życie. Podałem, że mam maturę, znam języki: polski, litewski, rosyjski i niemiecki. Na scenie kina były porobione boksy i tam wprowadzano nowobranców. Przyszła kolej na mnie. Wchodziłem. Już od wejścia wita mnie lejtnant: - Ty, bandit, gdzie u ciebie wintowka. Odpowiadam: - kakoi ja bandit, u menia w rukach nie było nikakoj wintowki. On: - Poczemu ty szoi/nie w krasnuju armiju. Ja: Wied' ja Polak, ja chotiek idti w polskuju armiju. On: - Dam ja tebie polskuju armiju, ty pojdziesz w sztrafnij batalion. Ja: Chorosz, pojdu. Coś zapisał i powiedział: - Uchadi.

Z niezbyt wyraźną miną podszedłem do ojca. Tata mnie pyta: - Coś taki markotny? Mówię: - Rusek powiedział, że pójdę w sztrafnij batalion. Do końca życia nie zapomnę, jak po wąsach ojca, takich jak u Wałęsy, zaczęły się toczyć łzy...

Czekaliśmy na papierek, kierujący nowobranców wg. przydziału. Na scenę przed kabiny wyszedł w czarnym skórzanym płaszczu, niskiego wzrostu, podobny do Żyda osobnik, który krzyczał: Wiktoras Gaveniauskas. Podniosłem rękę. Machnął ręką, że idzie do mnie. Kiedy podszedł, zaczął pytać po polsku, czy to wszystko prawda, co napisałem w ankiecie, czy jestem po maturze i czy władam tymi językami. Po moim potwierdzeniu, powiedział, że ma skierowanie do druskienickiej "Sielpo" na pirmininkasa i potrzebuje właśnie buchaltera, znającego przynajmniej 3 języki i czy chciałbym tam pojechać razem z nim. Odpowiedziałem, że ja się zgadzam, tylko ten w boksie powiedział, że pójdę w sztrafnij batalion. - Ja to załatwię - powiedział - Visockis. Rzeczywiście, po pół godzinie, wrócił ze skierowaniem dla mnie i "bronirówką do końca wojny". Wróciliśmy do domu razem z draugiem Visockim, a nazajutrz odwiózł nas ojciec do Druskienik i tak zaczęła się moja praca gławbucha.

Staraniem mojej narzeczonej St. Dziennickiej, córki leśniczego w przedwojennych Druskienikach, absolwentki Gimn. E. Plater w Grodnie, instruktorki PWK w Grodnie, zajęła się mną pani wracz z kurortu druskienickiego, otrzymywałem amerykańskie medykamenty, jakie otrzymywali bojcy. Byliśmy zapisani z narzeczoną w pierwszej kolejności na repatriację do Polski, ale mnie robiono trudności ze względu, że do 1941 roku byłem lituwiškas pilietis. Trudności te upadły, kiedy w październiku 1945 r. wzięliśmy ślub, ale dopiero w marcu 1946 roku byliśmy w Polsce.

#### EPILOG

Moja egzystencja w Polsce nie była łatwa. Byłem zawsze "tym z za Buga", jedynym w tej wsi. Dobrze, że krewnych żony jest w tej wsi dużo i oni tłumaczyli "centralakom", że Gawienowski nie jest z za Buga, a tylko Polak z Litwy, a dawniej Litwa i Polska były jednym państwem obojga narodów. Nie dostałem się na medycynę w Łodzi, więc zostałem nauczycielem, czego nie żałuję. Mam wielu absolwentów mojej szkoły, a wśród nich ponad pół kopy poszło w moje ślady - uczą dzieci, nie nazywając ich dziećmi obcymi. Do ZBOWiD-u należę od 1969 roku. Wprowadzającymi mnie byli: pani Komar Żylińska, pan Zygmunt Żyliński i kol. St. Rautenstrauch.

Zaraz po wojnie, ale już w Polsce, w szpitalu w Zgierzu operowano mnie nadwężoną kość ogonową, kutem żołdaka niemieckiego w Daugach. Dnia 18. XII. 81 zmarła moja żona na wylew do mózgu - przejęła się ogłoszeniem stanu wojennego, bo 12 i 13. VII. 81 byli u nas synowie 1 z Sianowa a 2-gi od Piątku. Przejęła się, jak oni z żonami i małymi dziećmi dojadą samochodami do siebie. Ja tydzień po jej śmierci, dostałem zawału serca, ale żyję. Niemysłów, 24. 9. 1987. W. Gawienowski

